

## Wojciech Stanisławski: Skrzący słownik

To opisanie życia Kołakowskiego przypomina trochę mapy świata z epoki wielkich odkryć, szkicowane na podstawie relacji konkwistadorów i rozbitków, z których „składał się” przez lata zarys linii brzegowej nieznanych dotąd wysp.

„Podręczny słownik przyjaciół i nieprzyjaciół Leszka Kołakowskiego” można uznać za dopełnienie cyklu prac Zbigniewa Mentzla, rozpoczętego, bagatela, w latach 80. To wtedy trwały jego prace nad „Pochwałą niekonsekwencji”, trzytomowym zbiorem pism rozproszonych Kołakowskiego z lat 1955-1968. Wydane w 1989 przez londyński Puls, zostały w kraju błyskawicznie przedrukowane przez Nową: rozchwytywano je równie chętnie, co niewiele wcześniejszy reprint „Głównych nurtów marksizmu”, sporządzony przez Krąg. Rozchwytywano zresztą wówczas i filozofa, który po blisko 20 latach trafił po raz pierwszy do Polski na zaproszenie Komitetu Obywatelskiego, ale gościł i na UW, i w Krakowie.

Mentzel działał niespiesznie, pogłębiając wiedzę o losach, pismach i życiu Kołakowskiego. W blisko dwadzieścia lat po „Pochwale niekonsekwencji” opublikował rozmowę-rzekę z filozofem („Czas ciekawy, czas niespokojny”), po kolejnych kilkunastu latach – jego biografię („Kołakowski. Czytanie świata”). Jak sam pisze, w latach 2006-2008 nagrał wiele godzin rozmów ze swoim bohaterem, poznał gruntownie spuściznę Kołakowskiego znajdującą się w zasobach

Biblioteki Narodowej. Dla Znak wybrał też i zredagował cztery pomniejsze, tematyczne wybory jego pism. Ba, zbliżył się do formuły zastosowanej w książce, którą tu omawiamy, już dwukrotnie: w krótkim „Alfabcie przyjaciół”, umieszczonym jako aneks do wspomnianej wyżej biografii, i wcześniej jeszcze, redagując zbiór wypowiedzi i wspomnień filozofa „Wśród znajomych: o różnych ludziach mądrych, zacnych, interesujących i o tym jak czasy swoje urabiali” z roku 2004.

Z tym wszystkim „Podręczny słownik...” jest (niezależnie od jego szczegółowej zawartości, o której za chwilę) naprawdę nowatorskim pomysłem na – może nie biografię, ale opisanie ważnej postaci. Zamiast faktografii podporządkowanej chronologii, puchnącej wiązki działań i relacji – określić opisywaną osobę poprzez ludzi szczególnie dla niej ważnych, szczególnie jej bliskich? Taki opis przypomina trochę mapy świata z epoki wielkich odkryć, szkicowane na podstawie relacji konkwistadorów i rozbitków: z opisów wybrzeża i natury „składał się” przez lata zarys linii brzegowych, ujścia rzek, flora i fauna nieznanych dotąd wysp i kontynentów. Co więcej, o ile w przypadku geografii zawsze pozostawały niezbadane obszary w głębi lądu, *ubi leones* – odtworzenie sporów, sojuszków i polemik bohatera książki pozwala naprawdę precyzyjnie określić jego stanowisko w głównych sporach politycznych czy filozoficznych stulecia.

Oczywiście, wiele zależy od ilości i doboru tych „punktów triangulacyjnych”, co stanowi kolejne potężne wyzwanie: jak wybrać kilkadziesiąt (czy bodaj, jak w omawianej książce, 115) najważniejszych relacji w czymś długim i bogatym życiu, jak wagę tych relacji określić? Mam wrażenie, że Zbigniew Mentzel dokonywał wyborów z dość charakterystyczną dla siebie mieszaniną głębokiej kompetencji i, biorącej czasem górę, chochlikowatej przekory (czy może po prostu

chwalonej przez jego bohatera niekonsekwencji?). Nie wiem, czy (i ilu) zabrakło w tym zestawieniu osób ważnych dla Leszka Kołakowskiego i definiujących go, prócz dwóch najbardziej oczywistych: żony i córki (zakładam jednak, że za tą decyzją stoi dyskrekcja autora). Nie mam za złe kilku haseł w przejrzysty sposób „odstających” od pozostałych, już to dla krotchwili (Zinédine Zidane), już to, by pełniej dać upust publicystycznym ambicjom Mentzla (Andrzej, Gienio). Ale nawet wśród akademików i literatów, którzy stanowią zrąb tego zbioru, uderzają różnice nie tylko ich rangi, lecz intensywności relacji z Kołakowskim: obok przyjaciół wieloletnich i dożywotnich (Ryszard Herczyński, Wiktor Woroszyński, Wiesław Chudoba) pojawiają się okazjalni komentatorzy (Janusz Palikot), niewydarzeni, „post-marcowi” polemici (Wacław Mejbaum), cenieni przez filozofa – czasem tylko za fragment, za wers – poeci (Julian Tuwim) lub wielcy tego świata, z którymi uznanego już i sławnego filozofa na chwilę zetknął los (George W. Bush).

Oczywiście, wiedza i wyczucie proporcji Mentzla sprawiają, że opisane relacje zawsze są znaczące, zawsze coś z nich wynika: nie bez znaczenia jest przecież uwielbienie Kołakowskiego dla „Kwiatów polskich” czy wykorzystanie przezeń niezapomnianego czterowersu o wozach aprowizacyjnych i asenizacyjnych z „Balu w Operze” do scharakteryzowania relacji filozofii i nauk szczegółowych. Czy jednak rzeczywiście Tuwim był tak ważny dla filozofa, by uzasadniało to umieszczenie go w tym zbiorze jako jedyne poety prócz Barańczaka, Międzyrzeckiego, Miłosza i Wata? (Dodajmy, że w przypadku trzech z nich o obecności w książce zadecydowała raczej ich przyjaźń niż stosunek Kołakowskiego do ich wierszy). Czy Bush, którego Kołakowski spotkał raz w życiu, nie posłużył tylko jako elegancka podstawka pod wazę, pretekst pozwalający przytoczyć celny akapit z mowy „Po co nam przeszłość”, wygłoszonej przez bohatera książki w przytomności

prezydenta USA po otrzymaniu Nagrody Klugego? Jako się rzekło: niemal każde z haseł jest ważne, ponieważ wzbogaca naszą wiedzę o Kołakowskim. Pretekstowość jednak niektórych z nich rodzi sceptycyzm wobec kryteriów doboru, każe zastanowić się, czy tytuł „Wśród przyjaciół, znajomych, celebrytów i dziwaków” nie odpowiadałby lepiej zawartości książki.

Z tym wszystkim – czyta się „Podręczny słownik..” znakomicie, nienasycenie, zachłannie. Oczywiście, trochę na podobnej zasadzie, na jakiej pochłaniamy zbiorki w rodzaju „Anegdoty z życia sławnych ludzi”: sama przyjemność obcowania z wielkimi tego świata, a jeszcze zdjętymi z piedestału, wynagradza nam z nawiązką pewną czczość takich opowieści. Oba te wymiary są w książce Mentzla obecne, obcujemy z największymi (przytoczę tylko bohaterów „na bukwu B”, czemuś szczególnie świetny zestaw: Baczek, Barańczak, Bauman, Bellow, Berlin, Besançon, Beylin, Białoszewski, Bloom, Bocheński, Broniewski i Bush), a anegdoty (pomijając już legendarne uzdolnienia Kołakowskiego w dziedzinie purenonsensu i parodii, których obfitą próbkę otrzymujemy) są świeże, smaczne i rubaszne dokładnie tak, jak byśmy oczekiwali: Miłoszowe zdanie „siedzieliśmy po południu i n i e s p o s t r z e g l i ś m y, jak wypiliśmy litr wódki” cieszy jednakowo, gdy myślimy o Międzyrzeckim (współbiesiadniku), o Miłoszu (fundatorze) i o jego korespondencji z Kołakowskim.

Oczywiście, anegdoty te są tylko posypką: w długiej i jednej z lepszej not, tej o Międzyrzeckim, znalazło się miejsce i na cytaty z wiersza, i na charakterystykę poety, i na wzmiankę o „dyplomacji pingpongowej” USA-Chiny. Ba, niektóre zapisy są kopalnią tropów, punktem wyjścia do przyszłych książek czy esejów, i lektura ich przypomina obcowanie nie tyle ze zbiorem anegdot, co z encyklopedią czy katalogiem

wydawniczym. Lekturę skończyłem z tuzinem adresów bibliograficznych (ich pozyskanie ułatwia oszczędne, lecz przejrzyste i smaczne zestawienie źródeł cytatów) i notatek: daremnych pewnie zobowiązań do zajęcia się różnymi tematami (Kroński...) na serio. A przede wszystkim może – w tych skrzących się, krótkich zapisach, w których nie ma rzecz jasna miejsca na charakterystykę myśli i dorobku Kołakowskiego, powracają przecież stale jego „kalibracje”: umiarkowany sceptycyzm poznawczy, z wyboru niekonsekwentne i „zawieszane w powietrzu” opowiadanie się po stronie dobra i odwagi, jego kontredans i gra w chowanego z wiarą.

Skoro jednak czyta się to naprawdę łapczywie, skoro otrzymaliśmy profil (bo jednak nie portret) zbiorowy polskiej i po części zachodniej „klasy intelektualnej” drugiej połowy XX wieku – skąd doznanie lekkiej irytacji zmieszanej ze znużeniem, z jakim zamknąłem w końcu książkę?

Część przyczyn już wymieniłem: jest wśród nich i przekonanie, że podobnych tomów można by, biorąc pod uwagę bogactwo życia Kołakowskiego, skomponować tuzin, i nieuchronna, przy takiej liczbie nazwisk, szkicowość czy czasem wręcz powierzchowność portretów. Są jednak i inne.

Jedna z nich to obecna chwilami w książce tonacja, by tak rzec, „hiperlaudacji”. Leszek Kołakowski był nie tylko myślicielem i historykiem filozofii, jednym z największych polskich intelektualistów współczesnych. Dane mu były również talenty w rzeczach mniejszych: słuch językowy i poczucie humoru, którym zawdzięczamy nie tylko kilka błyskotliwych sztuk i wspaniałych esejów, ale i niezliczone, w większości pewnie rozproszone one-liners, które słysząc można albo

płakać ze śmiechu, albo dziwić się ich przenikliwości. Niekoniecznie jednak cechę tę posiada każda z jego ripost czy point, nie każdy wywiad, którego udzielał, stawał się złotem: tymczasem raz i drugi cytowane są one z podobnym znakiem probierczym w „Słowniku..”. Nie chcę powiedzieć, że Zbigniew Mentzel, wydawca, kurator i komentator Kołakowskiego, zamienił się w swojej ostatniej książce w jednego z tych świeżo upieczonych rodziców, którzy nie tylko wiedzą, że głowonogi kreślone kredką świecową przez ich dwulatka kryją w sobie harmonię Rembrandta, ale i usiłują przekonać do tego wszystkich rozmówców; kilkakrotnie jednak staje się on niebezpiecznie bliski takiej postawy.

Wiąże się z tym nie aż tak wyrazisty, lecz nieco podobny stosunek do nakreślonego w tej książce, polskiego zwłaszcza, panteonu: diademu, rzekłbyś, złożonego z osób tej miary co Jacek Bocheński, Bronisław Geremek, Jerzy Giedroyc – i tak dalej, aż po arcybiskupa Józefa Życińskiego.

Zastanawiam się, jak o tym napisać, by nie narazić się na zarzut „zawistnego opisywania Salonu z perspektywy przedpokoju”, lub co gorsza naprawdę nie osunąć się w taką koleinę. Wyżej wymienieni (podobnie jak kilkanaścioro innych bohaterów notek w „Słowniku..”, włącznie z Agnieszką Holland i Adamem Michnikiem) mają bezsporne w moich oczach zasługi dla kultury i wolności polskiej w czasach PRL, zasługi, które pozostają w mocy niezależnie od ich późniejszych wyborów. Myślę też, że – szczególnie w przypadku twórców i myślicieli mniej zaangażowanych politycznie, jak Bocheński, Międzyrzecki czy Pomian – pewne znużenie nie tyle ich spuścizną, co cytowaniem ich nazwisk, subiektywne poczucie przesytu pojawiło się za sprawą nie tyle ich samych, co ich (nad)gorliwych laudatorów. Krzywdę – mam nadzieję, że przemijającą – ich recepcji wyrządzili im nie hejterzy, lecz

szczebiotliwe dziennikarki telewizji śniadaniowych i eleganckich magazynów dla kobiet, enumerujące w kółko tych samych kilkadziesiąt imion i nazwisk w trybie na poły mantry, na poły obligu, na poły odgromnika: Marcin, Jan Józef, Karol, Józef... Adam, Jacek... Artur, Wisława...

Jest to okoliczność równie nużąca, co przemijająca, uzdrowi ją upływ czasu, kilka obrazoburczych gestów młodych poetów i dwa lub trzy obroty koła historii, po których Artur Międzyrzecki zachowa należne sobie miejsce w historii literatury, a Jacek Kuroń – w historii. Zarazem jednak to doznanie przesytu jest fenomenem, który tak wytrawny obserwator nurtów kultury jak Zbigniew Mentzel powinien był dostrzec i wziąć pod uwagę.

„Podręczny słownik.” powstał tymczasem jakby bez tej refleksji. Nie tylko diadem skrzy się jednostajnym, nużącym czasem dla oczu blaskiem – Karol, Marcin... Bronisław... - równie przewidywalnie rozmieszczone zostało stosowne dla diademu tło z czarnego aksamitu, czyli brzydki i źli. Ze znamiennej zresztą różnicą w doborze osnowy i wątku: o ile krytycy Kołakowskiego występujący z pozycji aparaczyka (Wacław Mejbaum) czy lewicowego intelektualisty (Edward Thompson) są co najwyżej pocieszni, to współcześni mu oponenti i polemici, bardziej stanowczy, jeśli idzie o przedodwilżowe „dziecięce choroby” filozofa (Herling-Grudziński, Lem, Mrozek, Wojciech Skalmowski) okazują się być pryncypialnymi, niewolnymi od kompleksów nudziarzami.

Najgorzej jednak z tymi, którym niechętny jest już nie Kołakowski, lecz Mentzel: wówczas miejsce sprawiedliwego gniewu (jakim reagował filozof na wszelkie przejawy antysemityzmu) zajmują uczucia nierównie niższe, czyli despekt i pasja. Obdarzeni nimi zostali zresztą, trzeba trafu, antybohaterowie obecni w publicystyce polskiej od lat: żaloszny żydożerca, partyzanci z wyciętego lasu, „antykomuniści dzielnie walczący z komunizmem po jego upadku”, podgryzacze wielkości Wałęsy, szperacze w IPN-owskich teczkach, a czasem dla odmiany (?) – „agresywne tępaki”, obskuranci sprzeciwiający się pochówkowi Miłosza na Skałce. Zbyt cenię książki Mentzla, począwszy od „Niebezpiecznego narzędzia w ustach”, zbyt ważna jest dla mnie spuścizna Kołakowskiego, żebym nie ubolewał nad tą czarną pianą gazet, która spryskała niektóre strony „Słownika”.

*Wojciech Stanisławski*



ZBIGNIEW MENTZEL

Podręczny słownik  
przyjaciół i nieprzyjaciół

# LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

znak

**Zbigniew Mentzel, „Podręczny słownik przyjaciół i nieprzyjaciół  
Leszka Kołakowskiego”, Wydawnictwo Znak, Kraków 2025**

\*\*\*

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---